



*Pomnik Giordana Bruna – Campo de' Fiori (Rzym)*

*Ma il mondo d'oggi è anche privo di libertà* - „Lecz dzisiejszy świat jest także pozbawiony wolności”. Od tragicznego wydarzenia z [Campo de' Fiori](#) minęły ponad cztery wieki. [Giordano Bruno](#) zwiastował nadejście nowożytnego świata. Dziś z całą ostrością widzimy objawy duchowego kryzysu, jaki ten świat przeżywa. Jest to kryzys prawdy. Jeśli wiek Oświecenia można uznać za szczytowy okres epoki nowożytnej, gdyż był to czas niezwyklej wiary w potęgę autonomicznego rozumu ludzkiego, to wiek dwudziesty jawi się jako czas jego kompromitacji. Kompromitacja rozumu oświeceniowego polega na tym, że śniono o pełnej wolności człowieka i ją obiecywano, a w efekcie zorganizowano państwa, które stały się jednym wielkim więzieniem. W ich pejzaż zostały wpisane - jako jego istotne elementy - krematoria obozów koncentracyjnych i szpitale aborcyjne: jedne i drugie będące prawdziwymi fabrykami śmierci, starannie zaplanowanymi i z żelazną konsekwencją wprowadzonymi w ruch.

W roku 1968 zakwestionowano ten właśnie rozum. Jednakże jego kontestacja przybrała zaskakującą postać, która jeszcze bardziej pogłębiła rozmiary duchowego kryzysu. Współczesnej cywilizacji zarzucono bowiem nie to, że znalazła się w swoistej próżni, pozbawiając się jakiegokolwiek transcendentnego oparcia, ale to, że ciągle jeszcze za dużo jest skrępowana i opresyjna. Zdaniem ideowych przywódców rewolucji roku 1968 - słynnych trzech panów na „M”: [Marksa](#), [Mao Tse-tunga](#) i [Marcusego](#) - opresyjność jej miała polegać na władzy rozumu jako takiego i wynikającej z niej moralności, mniej lub bardziej nawiązującej do Dekalogu. Ich zdaniem, prawdziwe wyzwolenie może być osiągnięte jedy-

nie wtedy, gdy rozum zostanie wyparty przez emocje a trudny niekiedy obowiązek zostanie zastąpiony przez przyjemność. Trzeba więc odrzucić wszelkie ograniczenia - w imię wolności pojętej jako „spontanizacja” i „nieustanna kreatywność”. W konkretnym życiu miało to przekładać się na całkowitą swobodę seksualną i tworze nowej, autonomicznej i autentycznej rzeczywistości za pomocą alkoholu i narkotyków.

Jednakże bardzo szybko taka wolność, pojmowana i obiecywana jako uwolnienie się od moralności, okazała się mirażem. Samotna – bo pozbawiona odniesienia do prawdy - wolność złączyła się z kłamstwem o sobie samej. W konsekwencji musiała ona nieuchronnie rodzić nowe formy zniewolenia. Zniewolenia przerażającego, gdy chodzi o jego rozmiary. Potęgą kłamstwa o istocie wolności stała się bowiem tak wielka, że miliony ludzi zaczęły dobrowolnie poddawać swego ducha całkowitemu skrępowaniu, z głębokim przekonaniem, że wybierają wolność autentyczną.

Zachodnia kultura stała się więc przed niebezpieczeństwem ztratności własnej tożsamości. Wolność pojęta jako całkowita dowolność zakwestionowała prawdę. „Największym zagrożeniem, co w Stanach Zjednoczonych zwłaszcza widać - pisał [Leszek Kołakowski](#) w artykule *Po co uniwersytet* - jest inwazja mody umysłowej, która chce unieważnić kryteria poznawcze wiedzy i samą wartość prawdy w sensie ustalonym w kulturze naszej. (...) Chyba jednak po raz pierwszy mamy modę - czy raczej mody, które chcą nas przekonać, że żadne ogólne kryteria intelektualne nie istnieją, że wszelkie sensory są dowolnie tworzone, a jednocześnie usiłują narzucić własne, czysto ideologiczne kryteria, na przykład feministyczne lub rasistowskie (według nie białego, lecz czarnego rasizmu). (...) W ostatnich latach ukazało się w Stanach Zjednoczonych kilka ważnych książek oskarżających uniwersytety amerykańskie, nawet pierwszorzędne (jak dotąd), o korupcję umysłową i stopniowe zastępowanie normalnych zasad porządku naukowego i nauczycielskiej przez tzw. *political correctness* - słuszność polityczną (wyrażenie żywo przypominające żargon stalinowski). Są to, w rzeczy samej, mody niepokojące. W imię tego, co nazywają pluralizmem i wielokulturowością, akademicy - z reguły trzeciorzędni w skali wyników badawczych - usiłują narzucić wszystkim ideę wyzwolenia od rygorów akademickich, które są przecież także rygorami moralnymi; pluralizm i tolerancja wedle tej osobliwej interpretacji mają polegać na tym, że pewne uprzywilejowane segmenty społeczności akademickich nie mają już obowiązku uzasadniania ani wyjaśniania tego, co głoszą, ani też trzymania się reguł logicznych, jako że wszystkie te kryteria naukowe prawomocności zostały wymyślone przez białych heteroseksualnych mężczyzn; ci, którzy nie należą do tej części populacji, są zwolnieni ze stosowania się do tych kryteriów, a właściwie już wszyscy są zwolnieni”.

Wraz z polityczną poprawnością i zakwestionowaniem obiektywnej prawdy nieuchronnie idzie w parze zakwestionowanie samego chrześcijaństwa - i to w zupełnie nowy, przedziwny sposób: poprzez ośmieszanie samego Chrystusa i jego Ewangelii. W ogóle nie chce się podejmować z nią jakiegokolwiek racjonalnego dyskursu, ponieważ dla współczes-

nego społeczeństwa zawarte w niej prawdy jawią się po prostu jako śmieszne. Tę postawę zdemaskował Leszek Kołakowski w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, pisząc po francusku, niejako do szuflady, esej, który zatytułował *Jésus ridicule. Un essai apologétique et sceptique*. W wersji polskiej ukazał się on w 2014 roku jako *Jezus ośmieszony. Esej apologetyczny i sceptyczny*. Wydaje się jednak, że francuskie sformułowanie *Jésus ridicule* lepiej jest tłumaczyć jako „śmieszny Jezus”. Dlaczego śmieszny? Kołakowski tak oto opisuje stan ducha ludzi Zachodu tego właśnie czasu: „Tak, Jezus jest ośmieszany, ale wiemy, że ma rację, i nawet tego nie kwestionujemy. Jak to możliwe? Co więcej, są ludzie, którzy naprawdę praktykują cnoty chrześcijańskie, ale nigdy nie odważyliby się ich głosić. Ci, którzy się odważają - księża czy świeccy - głosić we własnym imieniu przykazania ewangeliczne na temat zachłanności i bogactw, współczucia i miłości narażają się na kpiny - nie mówi się: «to nieprawda», lecz raczej: «to jest niepoważne, to jest śmieszne». Dlaczego? Czy dlatego, że są to komunały? Ale powtarzamy przecież bezustannie, nie rumieniąc się, banały co najmniej równie zużyte, choć o wiele mniej ważne. Krótko mówiąc: w wykształconych lub półwykształconych klasach naszych społeczeństw być chrześcijaninem to wstyd - nawet nie dlatego, że chrześcijaństwo nie cieszy się intelektualnym szacunkiem, lecz dlatego, że jest to moralnie śmieszne. Być chrześcijaninem to wstyd”.